

Od autora: W poprzednich rozdziałach było o kłopotach autora zarówno w trakcie zdjęć do filmu jak i późniejszych poświęceniach, aby dokończyć jego realizację.

Rozdział 13 *O Olbrychskim i swojej naiwności.*

W Stodole bywałem codziennie wieczorami. Oczywiście odświeżony prysznicem i przebrany w lepsze ciuchy. O rok starszy ode mnie, należący do PZPR Jurek Karpiński – szef Studenckiego Centrum Filmowego – patrzący dotąd na mnie nieufnie, traktował mnie łaskawiej. Coś musiał o mnie wiedzieć, skoro raz, na zebraniu członków filmowego centrum, wygłosił dziwnie brzmiącą pochwałę. Wziął do ręki listę, na którą musieli się każdorazowo wpisywać wszyscy korzystający z montażowni.

– Mam tu was jak na dłoni i wiem, kto cokolwiek robi. Obijacie się jak ostatni lenie – podniósł głos.

Spojrzał na mnie – chwilę zagadkowo milczał – po czym ciągnął dalej. – Co by o nim nie powiedzieć, ten Junosza najsolidniej z was pracuje.

„Co on może o mnie wiedzieć”? – Zapaliło mi się w głowie czerwone światełko.

Zdziwiłem się, kiedy pewnego wieczoru Adam Łukomski zamknął się z Karpińskim w jego gabinecie i długo nie wychodził. „Skąd oni się znają? Czyżby mój aktor obrabiał mi cztery litery”?

Wtedy i bardzo długo potem nie miałem pojęcia, że Adam był agentem bezpieczeństwa. Miał trudną do rozszyfrowania aparycję i barwną osobowość. Mógł uchodzić za cinkciarza, gangstera, playboya, a nawet za filmowego amanta na fali sukcesu. Byli tacy, co mogli go brać za rozwyrzonego synalka producenta goździków z układami w SB. Łukomski robił wrażenie luzaka, zawsze miał przy sobie pieniądze. Jakby od ojca, który nie ma do niego cierpliwości, bo dawno stracił nad nim kontrolę i na odczepkę zaspakaja jego zachcianki. Rodzica ze złością rzucającego w niego zwitkami banknotów, wyrwanymi ze spuchniętego portfela.

Pewnego dnia Adama i mnie zaproszono do kameralnej sali, gdzie odbywało się spotkanie Dyskusyjnego Klubu Filmowego. Toczyła się mdła dyskusja. Omawiano film Andrzeja Wajdy Wesele. Mówiono o wspańiałym warsztacie mistrza reżyserii i o grze aktorskiej. Nikomu nie przyszło do głowy, dlaczego Wajda wyciągnął z lamusa temat z początku dwudziestego stulecia. A przecież był to sfilmowany dramat Wyspiańskiego, którym ograł austro-węgierskich cenzorów. Wysłuchując, przejętych drugorzędnymi kwestiami dyskutantów, skojarzyłem dwa fakty: informację od Daniela Olbrychskiego sprzed prawie roku i scenę przedstawianą na plakatach filmu, porozwieszanych w całej Warszawie. Afisze reklamujące film pokazywały rozwścieczonych chłopów szturmujących z kosami, których ostrza przekute były na sztorc.

Właśnie aktor Daniel Olbrychski, z którym rozmawiałem w barku kawowym Wytwórni Filmów Dokumentalnych na Chełmskiej, mimowolnie podsunął mi pomysł, dzięki któremu „błysnąłem” przy Adamie Łukomskim w DKF-ie.

Wspomnienie spotkania z młodym gwiazdorem peerelowskiej kinematografii, początkowo nie należało do przyjemnych. Nie miało nic wspólnego z Wajdą i Weselem. Kiedy do mnie podszedł, był tak zdener-

wowany, jakby chciał dać mi w zęby.

Poprzedniego dnia wieczorem byłem z kuzynką na kolacji u jego pierwszej żony Moniki Dzienisiewicz, Daniela Olbrychskiego nie było w domu. Przeglądałem fotosy z filmu Bokser, w którym grał główną rolę. Wziąłem jedno ze zdjęć i zwróciłem się do gospodyni.

– Pani mąż jest na pewno zdolnym aktorem, ale proszę wybaczyć, niestety też mitomanem.

– Uważa pan, że mój mąż jest chory psychicznie? – Zbladła i syknęła z taką nienawiścią, jakbym splunął do łóżeczka z ich malutkim dzieckiem.

– O tu, niech pani spojrzy. Bije lewym prostym i odsłania szczękę.

– No dobrze, może i się odsłonił, ale jak ma pan czelność nazywać go mitomanem – powiedziała, dygocząc ze złości.

We mnie też się burzyło, miałem za sobą walki i siedem lat boksterskiego treningu w dwóch klubach pięściarskich i pewność, że na niuansach boksu znam się dużo lepiej od znanego aktora. Na film Bokser oczywiście poszedłem, lecz gra Olbrychskiego rozczerowała mnie. Jego boksterskie dyletanctwo uwidoczniła scena nakręcona na plaży w Cetniewie, gdy w przededniu wyjazdu na olimpiadę robi walkę z cieniem. Widać było jak na dłoni nowicjusza po miesiącu uczęszczania do boksterskiej szkoły. Choć nie brakowało mu szybkości, wyprowadzane ciosy rażąco zdradzały adepta raczkującego w pięściarstwie. Na Olbrychskiego byłem zirytowany, bo jakiś czas przed wizytą w jego mieszkaniu, oglądałem wywiad z nim w telewizji. Mówił o swojej roli w Bokserze i na zakończenie wywiadu palnął: „Tak pokochałem boks, że gdybym nie był aktorem, to zostałbym złotym medalistą olimpijskim”. Zakipiało we mnie ze złości: „Co wygaduje ten komediant z bladym pojęciem o boksie”?

Nie na wiele zdało się tłumaczenie żonie aktora, czemu telewizyjna wypowiedź Daniela wydała mi się idiotyczna. Rozwścieczona czepiała się słowa MITOMAN.

– To co, pana zdaniem powinno się Daniela skierować na badanie psychiatryczne? Może potem założyć mężowi kaftan bezpieczeństwa i zamknąć w domu obłąkanych? – skrzeczała, patrząc na mnie z nienawiścią.

Kiedy Olbrychski zaatakował mnie w barku kawowym w WFD, byłem speszony. W pełnym filmowców pomieszczeniu, kipiąc ze zdenerwowania, demonstrował, jak prawidłowo potrafi wyprowadzać ciosy. Prawie krzyczał, że spędził dziesiątki godzin w salach boksterskich, że ostro sparował z Leszkiem Drogoszem, poznał Zbyszka Pietrzykowskiego, jakby chcąc mnie przekonać, że prawie został członkiem pięściarskiej reprezentacji Polski. Gdy trochę ochłonął, usiadł naprzeciw i wreszcie dopuścił mnie do głosu.

– Nie gniewaj się – powiedziałem. – Ale nawet gdybyś trenował po dwadzieścia cztery godziny na dobę przez trzy miesiące (bo tyle przygotowywał się do roli w filmie), to byłoby zbyt krótko by zostać mistrzem olimpijskim. Ktoś, kto ma za sobą kilka lat boksowania, od razu pozna początkującego¹.

Nie pamiętam, jak zmieniliśmy temat. Chyba od kuzynki dowiedział się, że byłem naocznym świadkiem wydarzeń z grudnia 1970 roku. Podczas tej tragedii mieszkałem w Sopocie, wtedy pracując jako doker w Nowym Porcie, snułem plan ucieczki do Szwecji.

Olbrychski zachęcił mnie, żebym mu coś opowiedział o masakrze dokonanej przez komunistów na robotnikach. Powiedział, że Wajda nosi się z zamiarem napisania o tym scenariusza, potem chce realizować film. Obiecał mnie przedstawić słynnemu reżyserowi, abym przekazał osobiste relacje. Oczekiwanej obietnicy aktor nie spełnił. Poza pierwszą częścią rozmowy o boksie oraz nadzieją na poznanie twórcy filmu *Popiół i diament*, utkwiała mi w pamięci wypowiedź Olbrychskiego.

– Wiedziałeś, że robotnicy w stoczni przerabiali rury na ostre piki? Dowiedział się o tym Wajda. Stocznioowcy zaczęli wytwarzać białą broń, by ruszyć z nią na funkcjonariuszy władzy.

Siedząc obok Adama na zebraniu DKF-u i wysłuchując mętnych wymądrzeń dyskutantów na temat *Weśła*, poczułem przebiegające po plecach ciarki. Nagle do mnie dotarło, że film Andrzeja Wajdy o weselu poety Rydla w podkrakowskiej wsi na początku dwudziestego wieku zawierał aluzję dotyczącą grudniowych wydarzeń z końca 1970 roku. „Mój Boże”! – skojarzyłem przerabiających rury na białą broń stocznioowców z chłopami, z przekutymi na sztorc kosami na plakatach reklamujących film. „Przecież *Weśle* Wyspiańskiego to dramat epoki symbolizmu! Szturm chłopów z kosami był zapowiedzią rewolucji, dokonanej po kilkunastu latach przez bolszewików. A w filmie Wajdy? To na pewno ostrzeżenie adresowane do komunistów, krwawo rozprawiających się z robotnikami! To logiczne, przecież cenzorzy z Mysiej nie przepuściliby filmu o milicji i wojsku masakrującym seriami z kaemów bezbronną ludność”!

Poderwałem się na nogi z podniesioną do góry ręką. Chwilę tak stałem. Wreszcie odezwał się moderator dyskusji.

– Posłuchajmy, co ma do powiedzenia realizator z klubu filmowego.

Podeksycytowany, opowiedziałem gapiącemu się na mnie tłumkowi studentów o swoich skojarzeniach. Zapadła cisza. Po chwili odezwał się prowadzący dyskusję.

– Cóż, muszę przyznać, całkiem interesujący punkt widzenia. Proszę bardzo, może ktoś zechce się odnieść do wypowiedzi kolegi?

Rozglądałem się po wystraszonych twarzach. Nikt nie zabrał głosu.

Kilkanaście minut później siedziałem z Adamem we wkomponowanej w hol Stodoły kawiarni. Snułem opowieść o przeżyciach z rozruchów w Trójmieście. Mówiłem jak z kolegą, który w lecie był ratownikiem w Jastrzębiej Górze, a ukrywając się przed wojskiem, poszedł ze mną do pracy w porcie, „pożyczyliśmy” samochód wartburg. Środek transportu był potrzebny, bo z rozbitych sklepów wynosiliśmy pełne nesesery wódki i wozili do kolegi. Tam ukrywaliśmy alkohol w piwnicy domu, gdzie wynajmował kwaterę. Wartburga odstawiłem pod stację diagnostyczną w Oliwie. Następnego ranka, a był to trzeci dzień rewolty, szliśmy boczną uliczką, sprawdzić zawartość piwnicznej kryjówki. Naprzeciwko nas wyrósł patrol trzech żołnierzy z mieszczącego się w pobliżu garnizonu desantu morskiego. Ci żołnierze na co dzień nosili niebieskie berety. Tym razem mieli na głowach hełmy obciążone sznurkowymi siatkami – wyglądali bardzo groźnie.

– Nie macie zapalek? – zapytałem, wyjmując paczkę papierosów.

Jeden sięgnął do kieszeni. Poczęstowałem ich papierosami i wtedy nas ostrzegli.

– Uważajcie dzisiaj chłopaki. Zobaczcie – powiedział ten od zapalek i zamiast słów z automatu Kałasznikowa wyjął i pokazał magazynek.

Ze szczeliny magazynka wystawał szpiczasty złotawy pocisk zespolony z łuską z zielonkawego metalu.

– Dali nam ostrą amunicję. Gdyby co, mamy strzelać bez ostrzeżenia – dodał inny żołnierz.

Wróciłem do Cioci do Sopotu. Kolega ratownik miał przyjechać pod wieczór. Byłem zmęczony i skacowany. Poprzedniego dnia w zasnutym dymami łzawiącego gazu Gdańsku dla kurażu opróżniliśmy pękatą butelkę Whisky 99. Napięcie podczas „pożyczania” samochodu i rabunku wódek było tak duże, że mimo wypicia dwóch pełnych szklanic alkoholu, byłem trzeźwy. U cioci złamało mnie zmęczenie.

Po godzinie twardego snu obudziło mnie drżenie szyb. Poderwałem się z tapczanu przerażony, chyba nerwowo się przeżegnałem. Gdzieś w oddali terkotały zanoszące się długimi seriami karabiny maszynowe. „Walą do ludzi. To wojna”? – przeraziłem się.

Masakra odbyła się w Gdyni, a kolega, inicjator kradzieży wódki, namówił mnie, żeby tam się udać i popatrzeć. Licząc na rozbite komisowe sklepy, pragnął ukraść elegancki kozuch.

Jechaliśmy elektryczną kolejką, czułem strach i byłem zły na kolegę, bo przez jego chciwość mogliśmy wpaść w nie lada tarapaty. Patrzyłem przez szybę wagonu na ciągnącą się wzdłuż torów szarą drogę. Mimo mrozu nie było śniegu, więc się zdziwiłem, kiedy dojeżdżaliśmy do stacji Gdynia Wzgórze Nowotki (teraz ten przystanek nazywa się Gdynia Wzgórze Św. Maksymiliana). Wokół stacji było białe. – Tutaj śnieg? – zapytałem.

Kolega wzruszył ramionami.

– Śnieg!? – Usłyszałem za plecami.

Za mną stał zdenerwowany chłopak.

– Nie wiecie? To krew przykryta gazetami. Te skurwiele walili z maszynówek do tłumy wychodzącego z pociągu do pracy. Jeszcze jedną jatkę urządzili koło stoczni, strzelali w całym mieście, też w Gdańsku.

Słuchający mojej opowieści Adam, wyraźnie się ożywił, kiedy z przekonaniem wygłosiłem osąd, potwierdzony później przez Radio Wolna Europa.

– Nie wiem, czy wiesz? – wyraziłem opinię o tragicznych wydarzeniach. – Te dane, które podają komunistyczne władze, o rzekomych trzydziestu siedmiu śmiertelnych ofiarach na całym wybrzeżu, to lipa. Rozumiesz? Zwykła ściema.

– Poważnie? – zapytał.

Pamiętam jak twarz Łukomskiego stężała. Wówczas wydało mi się, że był to wyraz oburzenia na kłamliwą propagandę władzy. Po latach, kiedy dowiedziałem się o jego roli w SB, zrozumiałem, że zdemaskowałem się jako niebezpieczny dla komuny, wichrzyciel.

– Słyszałem o ciężarówkach pełnych trupów, o ponad tysiącu ofiar. – Zaspakajałem jego ciekawość. – Wojsko wywoziło zwłoki w nieznanym kierunku. Rozgłośnia Wolna Europa po jakimś czasie mówiła o możliwości istnienia gdzieś w lasach masowych grobów. Czyżby drugi Katyń? To całkiem możliwe. – Zapewniałem.

Pamiętam jak jeszcze skacowany, rano po drugim dniu rozruchów pobiegłem na lekką zaprawę na plażę. Stałem jak wryty. Cały horyzont od Gdyni do Gdańska był aż czarny. Zawalony stłoczonymi statkami, które komuniści zmusili do opuszczenia portów. Chodziło o stworzenie blokady informacyjnej. Żeby ze statków nie popłynęły w świat radiowe komunikaty, że władza wypowiedziała wojnę narodowi...

Rozdział 14 *SCF Stodoła*

Upłynęło parę tygodni, a może półtora miesiąca, od snutej przed Adamem opowieści o tragedii roku 1970-go. Później zaczął mnie prześladować PECH. Długo niefortunnych wydarzeń w swoich filmowych dążeniach nie wiązałem z „niewidzialną ręką” władzy. Dopiero po paru dziesięcioleciach, zaczęło mi się wyraźniej układać w głowie, co mogło stworzyć zapory, przez które nie mogłem się przebić.

Parę lat temu zaprosiłem na piwo kolegę z dzieciństwa, który miał za sobą ponad dziesięcioletni pobyt w peerelowskich więzieniach. Pisałem powieść, której jednym z głównych bohaterów jest młody kryminalista, jego dzieje oparłem na życiorysie Jarka Menowskiego². Osobiście, poza kilkukrotnym pobytem w areszcie i wyrokiem w zawieszeniu za uliczne bójki, nie znałem realiów więziennego życia. Wiedząc, że były przestępca jest nasączony interesującą mnie wiedzą, pijąc z nim puszkę za puszką Żywca, pozyskiwałem cenne dla mnie informacje. Ułatwiły tworzenie wiarygodnego opisu dramatu dziejącego się w murach wrocławskiego więzienia na ulicy Klęzkowskiej.

Kiedy byliśmy wyrostkami, zaproszony na piwo kolega wielokrotnie uciekał z domu. Wieczorami przychodził pod okno mojego domu i wspólnie z bratem zaopatrywaliśmy go w jedzenie i ciepłe ubrania. Do dzisiaj jest nam za to wdzięczny. Jak go spotykam, wita się ze serdecznie i nalega, abym pozdrawiał brata mieszkającego w Anglii. Chyba dlatego, gdy mieliśmy już nieźle w czubie, opowiedział mi o czymś dotyczącym mojej rodziny, byłem zaskoczony.

Mieszkałem w willowej dzielnicy Szczawna – Zdroju i pisząc inną opublikowaną przed paru laty powieść³, opowiedziałem o praktykach komunistycznych władz, ułatwiających niszczenie środowisk przedwojennej inteligencji. Byłem małym dzieckiem i pamiętam, jak do domu naprzeciwko naszej willi wprowadził się oficer Urzędu Bezpieczeństwa. Czy to był przypadek? Ojciec traktował go z bojaźliwym respektem. (Miał za sobą wątpliwą przyjemność stawienia się na wezwanie UB w charakterze podej-

rganego). Także inny funkcjonariusz bezpieki, zamieszkał naprzeciwko mieszkającego na naszej ulicy doktora Kujawskiego – byłego szefa sanitarnego Baonu Zośka (noszącego w konspiracji pseudonim Doktor Brom). Wzbudzący strach Ojca sąsiad z naprzeciwka wyniósł się po gomulkowskiej odwilży. Natomiast ten mieszkający naprzeciwko willi doktora Broma pozostał na stałe. Do Warszawy wyjechała rodzina lekarza akowca, a do jej domu wprowadził się górnik, którego pasierbem był kolega, zaproszony na piwo, ten wiele lat temu ratowany przeze mnie i brata przed głodem. Minęło kolejne dziesięciolecie i ubek, zapewne przyzwyczajony do podglądania domu po doktorze Bromie, wypatrzył przez lornetkę biologiczną córkę górnika, z którą się ożenił. Został więc przyszywanym szwagrem kolegi, który dopuszczał się kradzieży, był pensjonariuszem domów poprawczych, by po następnych wyrokach, wydłużać swoje pobyty w zakładach karnych. Nie opiszę, jak się kolega „wyprostował” moralnie. Przypuszczam, że szwagier nakłonił go do współpracy z SB.

Pod stojącą w ustronnych krzakach ławką leżało już sporo opróżnionych puszek po Żywcu, kiedy coraz bardziej bełkotliwa rozmowa z kolegą, ponownie mnie ożywiła.

– Nie wiesz pewnej rzeczy – powiedział.

Patrzył na mnie chwilę spod oka, a ja domyśliłem się, że chce mi powiedzieć coś ważnego.

– Chyba wiesz, że moja przyrodnia siostra wyszła za ubekę. – Zaczął, patrząc na mnie przenikliwie. – Jak byłem małym chłopcem to szwagrowi, temu ubekowi, pisałem po rusku wypracowania. On był w szkole partyjnej w Moskwie, a że jest wyjątkowym tępakiem, wyprosił żebym za niego pisał wypracowania. Czasem zostawiał mnie samego w pokoju, a ja zaglądałem do szuflad w biurku, bo myślałem, że chowa tam pistolet. Nudziłem się, to przeglądałem jego papiery. Wtedy znalazłem taką listę z nazwiskami niektórych mieszkańców Szczawna. Z ulicy Skłodowskiej była wymieniona twoja rodzina i Skrzydlewscy.

(Rodzina herbu Watta Skrzydlewskich sąsiadowała z nami przez płot. Przed wojną posiadali wielkie majątki w województwie poznańskim).

– O co chodzi z tą listą? – zapytałam.

– To była jakaś kopia, na której była pieczętka TAJNE. Pisało też tam: „Pilne” i że należy jak najszybciej wysłać do warszawskiej komendy głównej MO. Wiadomo, chodziło o wydział SB. Było napisane, że to dotyczy tych, mogących szkodzić ustrojowi państwa.

Rozmowę z kolegą z młodości odbyłem wiele lat po czasach, kiedy w Studenckim Centrum Filmowym, zajmowałem się filmami. Nurtowały mnie pytania: „czy to możliwe, że przez większą część życia ja i członkowie mojej rodziny byli stygmatyzowani jako zagrażający ustrojowi podejrzany element”?

Zacząłem się zastanawiać. Być może ciągnęło się za mną piętno rozpoczętej już w roku 1944-tym przez komunistów akcji perfidnego niszczenia środowisk przedwojennej inteligencji. Wykształcony przed wybuchem wojny Ojciec i Matka kończąca Akademię Medyczną za sowieckiej okupacji, byli odporni na prymitywną indoktrynację ideologii marksistowsko leninowskiej. Winą moich, obawiających się komuchów Rodziców było, że nie wstąpili do PZPR-u i uczęszczali do kościoła.

Jaki wpływ na moje wychowanie mógł mieć zaszczerpiony rodzicom strach przed władzą? Przypomniał mi się epizod z dzieciństwa. Byłem chyba w trzeciej klasie podstawówki i podczas lekcyjnej pogadanki na temat niezwyciężonej armii radzieckiej, zabrałem głos. Zakwestionowałem zdanie nauczyciela, twierdzącego, że pokonanie hitleryzmu było wyłączną zasługą Związku Radzieckiego. Winowajcą mojego występu był Ojciec. Kilka dni wcześniej w angielskim periodyku pokazywał mi i bratu ilustrowany zdjęciami wojenny reportaż. Opowiadał o konwojach, dostarczających ogromne ilości sprzętu wojskowego do leżącego w strefie podbiegunowej radzieckiego portu Murmańsk. Czasopismo zawierało opis wielkiego poświęcenia marynarzy brytyjskich i amerykańskich, toczących bitwy z zatapiającymi dziesiątki okrętów alianckich „wilczymi stadami” niemieckich łodzi podwodnych. Konwoje liczyły setki wyładowanych sprzętem wojennym okrętów handlowych.

Podniosłem w klasie rękę i powiedziałem.

– Zwycięstwo nad faszyzmem, to nie tylko zasługa ZSRR.

Twarz nauczyciela zrobiła się buraczkowa ze złości.

– Jak śmiesz wygadywać takie głupoty – krzyknął na mnie belfer.

Wtedy całej klasie opowiedziałem o dostarczanych Rosjanom przez kapitalistycznych sojuszników setkach tysięcy ciężarówek, opancerzonych bojowych wozów, tysiącach ton żywności, broni i amunicji, które wspomogły armię Stalina.

Nazajutrz moich rodziców wezwano do szkoły. Pamiętam, jak wrócili bladzi i zmarnowani, jakby ich przekreślono przez wyżymaczkę.

– Przez twoją głupotę zostaniemy nędzarzami – powiedział Ojciec.

Musiałem patrzeć na niego z przerażeniem. Rodzic zaczął rozwijać dramatyczne perspektywy nieszczęść, jakie wkrótce spadną na naszą rodzinę.

Chyba to było u schyłku roku szkolnego, bo najbardziej przeraził mnie argument na temat nadchodzącego lata.

– Zapomnij o wakacjach! – wrzasnął. – ONI wyślą cię do zakładu poprawczego w pegeerze. Tam będziesz czyścić świńskie gówna, a wieczorem każą ci wkuwać na pamięć dzieła Lenina. Ja będę w więzieniu, a wasza matka będzie sprzątać ulicę.

Wtedy zacząłem głośno płakać. Przecież cały rok szkolny, żyłem marzeniem o kolejnych wakacjach nad morzem.

– To niemożliwe! – darłem się, szlochając. – Nienawidzę książek o Leninie i Stalinie!

Niedługo potem siostra Ojca zaczęła mówić o strasznej krzywdzie wyrządzonej jej przez sowietów, zresztą jej „gorzkie żale” wysłuchiwałem nie po raz pierwszy.

– Nie dość, że mordercy zabili mi w Katyniu męża, to wymyślając jakiś “bierutowski dekret” ich moskiewskie pacholki ukradli mi warszawską willę na ulicy Krotoszyńskiej – oburzyła się, gdy z radia płynęło przemówienie o przyjaźni polsko - radzieckiej.

Zdenerwowała mnie reakcja Matki. Zbladła i wysyczała do ciotki.

– Zosiu, błagam, nie przy dzieciach.

Byłem oburzony.

– Macie mnie za wariata? – pisałem. – O Katyniu i willi na Bielanach słyszałem już kilka razy i co myślicie, że chodzę i rozpowiadam takie rzeczy?

Po latach nieraz się zastanawiam: „czy moje życiowe zawirowania, nie wynikały z podświadomego buntu, żeby nie stać się takim jak Rodzice. Kimś zaszczytnym strachem przed władzą”? Nie mam też pewności, ale nie wykluczam, że już wstępując do SCF Stodoła miałem gdzieś w esbeckich kartotekach przypiętą łatkę: „uwaga, potencjalny wróg socjalizmu”(?)

* * *

Poza niezrozumiałym, wzbudzającym chwilowe zaniepokojenie incydentem, kiedy dotarło do mnie, że Adam przed szefem filmowego centrum obrobił mi cztery litery, nie czułem zaciskających się wokół ciemnych mocy. Swobodnie pracowałem nad filmem. Moniki nie widziałem parę miesięcy i teraz mogę się domyślać, że esbecy mocodawcy skierowali ją na szkolenie. Nie wiem, jak mogła przebiegać jej edukacja. Czy była przygotowywana do roli seks-agentki? Może do innych zadań, o których nie miałem pojęcia? Nawet przemknęło mi przez głowę, że wywieziono ją na kurs do Wierchnoje⁴, lecz odrzuciłem tę myśl jako niedorzeczną.

Kiedy Monika pojawiła się w Stodole, początkowo jej nie poznałem. Wyglądała fantastycznie i od razu została pupilką szefa filmowego centrum.

– Może wypijesz ze mną kawę? Może zjesz ciasteczko? – Słyszałem, jak przymilał się do mojej aktorki.

Nie tylko on zabiegał o jej względy. Jeden z operatorów zorganizował Monice fotograficzną sesję. Jej efektowne zdjęcia ozdobiły ściany pomieszczeń filmowego centrum. Otoczona powszechną akceptacją, zaczęła bywać codziennie w Stodole.

Film miałem zmontowany, pracowałem nad dźwiękiem. Korzystałem z fonoteki, podkładając do scen plenerowych zgrzyty tramwajowych kół, warkot aut i podobne odgłosy uliczne. Bawiło mnie, pisanie komentarza. Chciałem, aby narratorem był aktor grający rozszlószonego sklerotyka, rzucającego wściekle oskarżenia pod adresem młodych ludzi. Przykładowo, w scenie kiedy Adam z Moniką w sielankowym nastroju spacerują po opustoszałym parku, zatrzymują się i całują, komentator skrzeczy o zwyrodniałych formach seksu, uprawianego przez młodzież. Równie absurdalny efekt miało wywołać ujęcie nakręcone na ulicy, kiedy udało się sfilmować parę pijącą pokątnie denaturat. Wówczas partner kobiety o buraczkowej twarzy zaatakował Jońskiego i mnie z nożem, a rozszlószonego komentator miał zmienić ton i oznaj-

nić z zadumą:

„Przed wojną mężczyzna potrafił bronić honoru kobiety. Ryzykował życie, stawał do mogących się skończyć śmiercią pojedynków”.

Byłem pewien, że ten i wiele innych kontrapunktowych gagów stworzą zabawne sceny. Pozostał ważny nierozwiązany problem: kto miałby przeczytać komentarz?...

1 Pyskówka z nieżyjącą już Moniką Dzienisiewicz, potem z Danielem Olbrychskim o boksie, miała rzeczywiście miejsce wiosną 1971 roku. Jestem przekonany, że mogła wpłynąć na życie słynnego aktora. Zobaczyłem bokerskie popisy Daniela wiele lat później, bił w worek prawie jak prawdziwy pięściarz. Boks stał się obok koni jego głównym hobby. Kupił i wyposażył salę treningową, zaprzyjaźnił się i trenował ze znanymi polskimi bokserami. Po dziś dzień zadaję sobie pytanie: „czy to nie ja zagrałem mu na ambicji i rozbudziłem jego pasję”?

Obecne polityczne wypowiedzi Olbrychskiego, uważam za koniunkturalny bełkot. Badacze IPN-u dowiedli, że jak wielu peerelowskich celebrytów ma za uszami współpracę z SB. Więc nic dziwnego, że wygaduje poglądy zbieżne z tymi, którzy chcieliby zaorać Instytut Pamięci Narodowej.

2. O Jarku wspominałem na początku tej opowieści – to kolega z wczesnej młodości, ten, który stoczył krwawy pojedynek na pięści z Romkiem Waszkiewiczem i jedna z klasowych koleżanek zemdląła na widok krwi pryskającej z twarzy przeciwników na skutek silnych ciosów. Także właśnie Jarek Menowski, po opuszczeniu więzienia odbił mi seksowną Ewusię.

3. To wydana w roku 2014 powieść „Kłamać, aby żyć” (Wydawnictwo CB).

4. „Sztukę wykorzystywania seksu do perfekcji opanowały służby specjalne byłego ZSRR, zwłaszcza KGB. W odludnym, gęsto zalesionym i mocno strzeżonym rejonie, około 200 km od Kazania, znajduje się miejscowość Wierchnoje. W usytuowanym tam ośrodku starannie wyselekcjonowani panie i panowie w wieku 18-20 lat szkoleni byli w technikach seks-szpiegowskich. Jak dać partnerom o różnych upodobaniach maksimum zadowolenia? Jak znajdować przyjemność w każdej odmianie aktu płciowego? Jak zachowywać się naturalnie i spontanicznie, mając świadomość, że jest się np. filmowanym? Oto tylko niektóre tematy lekcji w rosyjskim ośrodku szkoleniowym dla seks-szpiegów.

W żargonie KGB seks-agentki nazywano "jaskółkami", a seks-agentów "krukami". Dziewczęta pochodziły z całego ZSRR. Uroda była oczywiście warunkiem numer jeden, ale adeptki szpiegostwa musiały się też wykazać sporą inteligencją i urokiem osobistym oraz łatwością nawiązywania kontaktów w każdym środowisku. Znajomość języków obcych stanowiła dodatkowy atut.

Większość dziewcząt - przynajmniej na początku - była naiwna i niedoświadczona. Często nie uświadamiały sobie, do jakiej roli je przeznaczono. Decydowały się na szkolenie skuszone mirażem dobrych zarobków i uprzywilejowaną pozycją społeczną. Mężczyzn rekrutowano podobnie, ale nie wszyscy musieli być przystojni. Wszak często celem KGB były samotne lub "niedowartościowane uczuciowo" kobiety w średnim wieku, które od wyglądu bardziej ceniły inne – typowo męskie – walory.

Panowie "ćwiczyli" czasem na dowożonych do ośrodka brzydkich, niedomytych wieśniaczkach, aby uczyć się, przełamywać niechęć wobec nieatrakcyjnych fizycznie "obiektów" przyszłych misji. Kobiety

musiały opanować sposoby zaspokajania mężczyzn o najróżniejszych upodobaniach seksualnych, i nie tylko mężczyzn... A wszystkie te "treningi" odbywały się pod czujnym okiem wytrawnych speców od seks-szpiegostwa”.

(Fragmenty artykułu zawartego na portalu KOBIEȦ.PL)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 30.07.2019 13:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.